

Byłem w Polsce – 22

8 września 2018

Dobrze się stało, że śpieszyliśmy do Warszawy, bo mama złamała rękę i była w szpitalu na badaniu i założeniu gipsu. Jak można złamać rękę, leżąc w łóżku?

Okazuje się, że można, i to dość łatwo. Wystarczy uderzać przedramieniem w poręcz łóżka. W nocy, podczas jakichś gwałtownych, niekontrolowanych ruchów rękami wystarczył moment i kość, a raczej kosteczka krrrak i koniec!

Zdążyliśmy przyjechać do szpitala.

– Gips? Po co gips? Czy nie wystarczy jakieś usztywnienie?

– Nie, nie wystarczy!

– A może jednak, przecież to jest chudzielinka, kosteczki jak zapałki! I na to wszystko ciężki gips?

– Proszę pana, czy ma pan medyczne wykształcenie?

– Nie, jestem emerytowanym kierowcą.

– Emerytowanym?

– No, tak...

– Proszę pana, czy ja panu mówię, jak prowadzić ciężarówkę? No właśnie!

Ile ja takich rozmów odbyłem w życiu??? Milion? Dwa Miliony? Zawsze dochodzi do tego pytania! Czy jest pan lekarzem?

Ale mama była spokojna. Co prawda nie mówiła, ale widać było, że godzi się z losem. I o dziwo – w parę dni po powrocie ze szpitala zauważyliśmy, że jest w trochę lepszej formie i chce coś powiedzieć. To nie było tak od razu, ale po dłuższej chwili, z ruchu ust zrozumieliśmy:

– Chcę umrzeć...

Tego dnia wracaliśmy z Domu Opieki naprawdę przygnębieni. Likwidowany dom był pusty i zimny. Coraz więcej rzeczy, mebli, ubrań i całego domowego sprzętu oddawaliśmy sąsiadom, znajomym, albo wręcz wyrzucaliśmy do kontenerów przeznaczonych na używaną odzież i dom coraz szerzej odsłaniał swoją starość.

Miejsca po zdjętych obrazach, zepsute zamki, futryny, zacieki na ścianach... Siedzieliśmy w kuchni, pijąc herbatę, żeby chociaż trochę poczuć się przytulniej, ale to nic nie pomagało.

Niemniej na razie trzeba było siedzieć na miejscu i zobaczyć, jak się sprawy rozwiną.

I w czasie tych dość smutnych i ponurych dni przyszło mi do głowy, czy nie wyskoczyć by na małą chwilę do Sopotu!

A Sopot miał dla mnie zawsze ogromnie dużo uroku! Zresztą dla kogo nie miał?

Dla kogo nie miał?! Ileż „historii jednej znajomości”? Ileż wspaniałych wakacyjnych wspomnień, przeżyć i zakochań?

„Złota plaża pośród drzew...”

Mając to wszystko na uwadze, jakiś czas po naszych eskapadach na południe, tym razem wybraliśmy się na północ – nad Bałtyk! Pojechaliśmy do Sopotu piękną drogą przez Płońsk, Sierpc aż prawie do Torunia, a potem już wielką autostradą A1, po której prowadzić auto było czystą rozkoszą. Jeszcze raz przekonywałem się, że w którąkolwiek by stronę w Polsce pojechać, to wszędzie jest pięknie. Być może o każdym kraju można tak powiedzieć, ale mimo to zawsze będę powtarzał, że polskie krajobrazy mają coś miłego i domowego. I trzeba być Polakiem, żeby to czuć i tak to odbierać. Jednym słowem, Polska to piękny kraj! Tout court!

A teraz Sopot! Byłem tam kilka razy i z każdego pobytu

wyniosłem mnóstwo wspaniałych wspomnień.

Pierwszy raz w lecie 1956. Naturalnie z rodzicami. Młody chłopak, który zaniósł nam dość ciężkie walizki z kolejowego dworca do naszego letniego mieszkania na Morskiej 7, wziął za to papierowe 2 złote. Bo dwa złote były wtedy w banknocie. Na ulicy stały wtedy gazowe latarnie, które wieczorami zapalał pracownik gazowni. Chodził z długą fajką i zapalał je jedna po drugiej. Włos mi się jeży, gdy to piszę! Czuję się jak jakiś dinozaur, który opowiada o epoce kamienia łupanego! Co najważniejsze jednak, to to, że akurat wtedy otwarto słynne lody „u Włocha”, a prócz tego cały czas tłumnie spacerowano po nieśmiertelnym deptaku Monte Cassino i wszędzie widać było piękne dziewczyny, które co prawda jeszcze mnie aż tak bardzo nie interesowały, ale z całą pewnością zauważałem ich istnienie. Może dlatego, że fascynowały mnie wtedy (zupełnie nie wiem dlaczego) szerokie spódnice z plastikowymi pasami i wszechobecne rybaczki. Miałem wrażenie, że cały czas widzę tylko te dwa ubiory. Moja mama też chodziła w takiej spódnicy.

Wszędzie słyhać było piosenki Chóru Czejanda i „Kukurydzą”, którą cały czas grano na plaży. Kto śpiewał tę „Kukurydzą”, nie pamiętam, ale piosenka łatwo wchodziła w ucho i wszyscy ją nucili. Ojciec zabrał mnie dwa czy trzy razy na treningowe gry jakichś wielkich tenisistów, którzy akurat wtedy zjechali do Sopotu, ale to było bardziej przeżycie dla niego niż dla mnie. Co jednak było dużo ważniejsze i dobrze to pamiętam, to echa czerwcowych wydarzeń w Poznaniu. Otóż w tym samym domu gdzie my, mieszkała miła pani, która z dorastającym synem przyjechała tu na wakacje z Poznania, i była tak roztrzęsiona i znerwicowana, że cały czas musiała się uspokajać kawą i papierosami. W rozmowach z moją mamą opowiadała o dramacie Poznania, samowoli milicji, rozruchach i zabitych.

Siadała z papierosem i kawą, zakładała noga na nogę, poprawiała szeroką spódnice i niesłychanie ekspresyjnie opowiadała. Co jakiś czas patrzyła w swoje odbicie w lustrze, żeby sprawdzić, jak wygląda, trochę dziwnie wydymała wargi i

mówiła dalej.

– Ależ proszę pani! Jak oni mogli??? Jak mogli? Do czego to podobne? Strzelać do ludzi, proszę pani? Jak do zwierząt? Co to będzie?

Zaciągała się głęboko, wypuszczała do góry dym i znowu spoglądała w lustro. Pamiętam – miała na imię Lidia i muszę powiedzieć, że trochę mi się podobała. Nie żeby to czy tamto – ostatecznie miałem tylko siedem lat, ale faktem jest, że było w niej coś, co zwracało męską uwagę. Gdy chodziliśmy razem na plażę albo na moło, wielu spotykanych mężczyzn mówiło:

– Dzień dobry pani Lidko!

– Cześć Lidka!

– Kłaniam, kłaniam pani Lidio!

Widać było, że jest lubiana i przede wszystkim dawała się lubić.

Jej opowiadania o Poznaniu dawały dużo do myślenia. Nawet dla takiego smarkacza jak ja. Czuło się idące zmiany, chociaż mój ojciec był bardzo sceptyczny. Co innego pani Lidia.

– Och, żeby tylko przyjęli z powrotem Gomułkę! Tylko on może coś zrobić! – entuzjasmowała się.

A z Gomułką było już wtedy dużo lepiej, bo podobno został zrehabilitowany i czekał na przyjęcie do partii. Akurat to pamiętam z rozmów z ojcem, któremu nieustannie zadawałem jakieś pytania. Podziwiam jego cierpliwość dla mnie, która, jak myślę, brała się z tego, że był ode mnie starszy o czterdzieści lat i miał więcej pobłażliwości, niż gdyby był bardzo młodym ojcem.

Woda w zatoce pełna była kolorowych, cudownych meduz, które wyciągane z wody, traciły swój wspaniały wygląd, a wrzucane z powrotem natychmiast go odzyskiwały. Pamiętam też, jak w

czasie kąpieli jednej pani urwało się w kostiumie ramiączko od stanika. Bez skrępowania stała z obnażonym biustem, naprawiając, co było do naprawienia, i korzystając przy tym z pomocy jakiegoś przygodnego pana, który bardzo gorliwie w tym uczestniczył. Dziwna rzecz, że nikt nie robił z tego sensacji i prawdę mówiąc, plażowicze zachowywali dużą delikatność. Co innego ja. Gapiłem się jak urzeczony, bo nagość była dla mnie kompletną nowością! Inna rzecz, że o ile pamiętam, kobieta miała bardzo ładny biust. To były wspaniałe dwa miesiące. Pojechaliśmy też statkiem spacerowym „Mazowsze” na Hel, do Jastarni, i nie wiem już gdzie jeszcze, ale w sumie „to były piękne dni!”

Do Sopotu przyjeżdżałem jeszcze w 1966 i 1976. Co dziesięć lat. I każdy przyjazd niósł nowe wrażenia i jakby oddzielał jeden etap od drugiego. Ten pierwszy, w '56, pokazywał mi inny świat – jakżeż różny od tego prowincjonalnego, sielsko-anielskiego zamkniętego w dość ciasnych ramach małego miasteczka.

Ciekawa rzecz, że nasz przyjazd do Sopotu – chociaż o całą epokę oddalony od poprzednich – był do nich niesłychanie podobny. Nigdy nie odczułem czegoś takiego tak wyraźnie. Tak jakbym stamtąd nie wyjeżdżał. Teraz – w 2017 roku – siedłem dokładnie tymi samymi ulicami, widziałem te same domy, balkony, sklepy, a nawet drzewa. Poznawałem wejścia na plażę, oczywiście molo, stare, drewniane wille tonące w ogrodach, deptak Monte Cassino, Grand Hotel i wreszcie lodziarnię „U Włocha”. Doprawdy nie wiem, dlaczego akurat tu – w Sopocie – odczułem to tak wyraźnie. Chyba jednak dlatego, że każdy pobyt był naładowany emocjami, przeżyciami i wrażeniami, które ryły w sercu i głowie trwały obraz. Nie do usunięcia.

Ludzie też byli podobni. Nie było już co prawda szerokich spódnic i kocich okularów słonecznych, a na plaży w miejsce jednoczęściowych kostiumów królowało bikini, ale na Monte Cassino ciągle spacerowały piękne dziewczyny, lody smakowały wybornie, a Grand Hotel górował nad wybrzeżem.

Widziałem ten sam Orbis, pod którym w 1966 stałem całą noc w kolejce po bilety na samolot z Gdańska via Warszawa do Rzeszowa. Inna rzecz, że nie była to znowu wtedy taka wielka ofiara, bo byłem po tańcach w Non-Stopie, piłem piwo i czekałem w wesołym gronie. W osławionym Non-Stopie grały „Czerwone Gitary”. To był ich pierwszy sezon w tym klubie i młodzieży było mnóstwo.

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Źródło: Goniec.net